

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 89 Prenumerata w Warszawie: **Warszawa, 27 maja 1861.** Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie: **TOM III.**
 Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, 8 czerwca Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
 miesięcznie kop. 67 i pół. Cena pojedynczego numeru kop. 20. Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TREŚĆ NUMERU.
 Żel Warszewicz (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Gieźno, i Krukowica (z trzema drzeworytami). — Wjazd Stefana Czarnieckiego do Wawy, dnia 7 czerwca 1661 r. — Sierpniowym wieczorem, poczyna. — Kościółki w Iłkucku z drzeworytem). — Pomnik pod Hodowem (z drzeworytem). — Rebus. — Częstochowa (dalszy ciąg). — Nowiniarze. — Stara panna. — Z życia imc pana Fulgentego. — Ziemiak i pomidor, bajka. — Korrespondencja od redakcyi.

Zażalenia z powodu spóźnionego albo w złym stanie odbioru Tygodnika, nadsyłane pod adresem redakcyi, załatwiane będą z jaknajwiększym pośpiechem. Komplety Tygodnika, obejmujące 7 kwartałów w trzech tomach, mogą być nabywane w kantorze wydawcy, po cenie 14 rsr., wraz z przesyłką.

Józef Warszewicz.
 Z pomiędzy licznych podróżników, przebiegających w celu naukowym w ostatnich czasach obszerne a mało znane lądy Ameryki środkowej i południowej, jedno z najpiérwszych miejsc bez zaprzeczenia zajmuje rodak nasz, Józef Warszewicz. Nie zwykły to turysta, przebiegający wygodnie, drogami ubitemi, miejsca już przez tysiące wędrowców zwidzane, aby za powrotem rozprawiać o mniemanych niebezpieczeństwach, na jakie się niby narażał, wymyślający przygody, aby ich opisem wzbudzać uwielbienie dla swój odwagi i wytrwałości, ale cichy i niezmiordowany podróżnik, który dla z bogacenia nauki, wdzierał się na przepaściste urwiska niedostępnych Andów, przebywał na lichych trawach ogromne rzeki nowego świata, z siekierą w ręku torując sobie przejście przez dziewicze lasy Ameryki południowej, zapuszczał się w siedziby najdzikszych pokoleń indyjskich, znosił głód i pragnienie, szczęśliwy, jeżeli w nagrodę niewysłownych trudów, uszczknał jaką nieznaną roślinę i nią zbiory swe powiększył.

DO REDAKCYI.

Tygodnik Ilustrowany lipca 1861 roku wyjdzie nadal w tym samym formacie i w tym samym zakresie jak dotąd. Wznieść zadosyć życzenia naszych prenumeratorów, z początkiem tomu IV znosimy w trybik doniesień. Dodatki jednakże, jak dotąd, w miarę potrzeby będą dołączane.

Cena Tygodnika pozostaje taż sama, to jest w Warszawie: rocznie rsr. 8 k. — półrocznie 4 „ — kwartalnie 2 „ — miesięcznie „ 67½

na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rsr. 12 półrocznie „ 6 kwartalnie „ 3 z nadmienieniem, że Prenumeratorowie z Cesarstwa, otrzymujący tylko sam Tygodnik, kopertowe od każdego kwartału rsr. 2 rocznie. Tygodnik ma być wysyłany bez innego pisma, toż prosi o wyrażne oznaczenie tego pisma przy przesyłce pieniędzy. Prenumeratorowie z prowincyi zechcą zapisywać się na właściwych adresach pocztowych, od tego czasu zależeć będzie głównie regularny odbiór piérwszych numerów z kwartału następnego.



JÓZEF WARSZEWICZ. (Rysował J. Lewicki, podług fotografii Rzewuskiego w Krakowie.)

Imię téż Warszewicza, choć nie błyszczy na bogatych oprawach szaf bibliotecnych, znaniem jest dobrze w całej Europie. Uczeni botanicy z uszanowaniem je wymieniają, oddając nieudaną cześć Polakowi, który im tyle rodzajów i gatunków roślin, zupełnie nowych, jeszcze nieopisanych, dostarczył; ogrodnicy zaś zachwycają się mnóstwem najodborniejszych kwiatów w zwrotnikowych, niehodowanych przedtem w Europie, któremi ich cieplarnie tak hojnie ozdobił. Józef Warszewicz urodził się w Wilnie w roku 1812, z szlacheckich ale niezamożnych rodziców. Odebrawszy początkowe wykształcenie naukowe, poświęcił się od

młodości wyższemu ogrodnictwu. Zawód swój rozpoczął przy ogrodzie botanicznym uniwersyteckim w Wilnie, i tam zostawał aż do roku 1831. Ówczesne wypadki wojenne oderwały go na czas niejaki od ulubionych zatrudnień. Warszewicz przebył ze swemi nowemi kolegami pruską granicę, i po uciszeniu się wrzawy wojennej, powrócił do ulubionego ogrodnictwa. Cudzoziemcy poznali się wkrótce na jego zdolnościach już w Insterburgu, niedaleko od Królewca, gdzie początkowo oddawał się pracy; ale głównie wykształcił się w ogrodzie botanicznym berlińskim, gdzie też miał do tego największą sposobność.

Znac niepospolitym był Warszewicz ogrodnikiem, kiedy pomimo braku wyższego wykształcenia naukowego, zwrócił na siebie uwagę takiego męża, jak Aleksander Humboldt.

W r. 1844 Towarzystwo ogrodnicze belgijskie wysłało ekspedycją naukową na zbadańie pobrzeży St. Thomas w rzeeczypospolitej Guatemala, pod względem botanicznym i gospodarskim, a zarazem i dla oceny możliwości kolonizacyi tych wybrzeży; szukało więc w tym celu stosownie uzdolnionych ludzi, a Humboldt między innymi zaszczytnie odezwał się za Warszewiczem, i nawet chlubnie polecające wydał mu świadectwo (*).

Ochoczy, czynny i przedsiębiorczy, a przytém chciwy poznania nieznanego świata Litwin, chętnie przyjął udział w wyprawie, i w d. 5 grudnia 1844 roku wypłynął z Ostendy, dążąc do krajów zjednoczonych Ameryki środkowej.

Podróż odbyła się szczęśliwie; ale zaledwie statek zawinął do przystani St. Thomas, niegościnnie wybrzeże wysłało na przyjęcie przybyszów żółta febra. Straszna ta choroba, jak wiadomo, dosięga szczególnie Europejczyków, jeżeli natychmiast nie udadzą się w głąb kraju, ale pozostaną dłużej nad brzegiem morza. W przeciągu czterech miesięcy, prócz Warszewicza i lekarza wyprawy Flamandczyka, wszyscy osadnicy przybyli z Europy wymarli. Ostatecznie i ci dwaj nie zdołali się oprzeć dłużej zabójczemu klimatowi i, jak wszyscy, ulegli również zarazie. Dziesięć miesięcy cierpiał Warszewicz; wreszcie odzyskawszy zdrowie, przedsięwziął zaraz podróż do Meksyku; robił skrzętne poszukiwania botaniczne w południowej jego części, a zebrawszy niemałe plony, wysłał je częścią do Gandawy (Gent) dla Van-Houtte'a, a częścią do Anglii.

Przesyłka ta zwróciła na Warszewicza uwagę naturalistów i zjednała mu pomoc materyalną, wraz z zachętą do przedsiębrania dalszych wycieczek. Za otrzymaniem jej, udał się odważny nasz rodak w góry środkowej Ameryki, zwiędził prowincje: Guatemala, Yucatan, St. Salvador, Honduras, Nicaragua, Costarica i Veragua; następnie przebył międzymorze Panama, i oceanem Spokojnym popłynął do rzeeczypospolitej Ecuador.

Kordyliery były mu gościńcem, ich wyżynami postępując, dotarł aż do Boliwii, a zbierając głównie żyjące rośliny, strzelał kolibry i inne rzadsze ptaki, nie pogardzając przytém zbieraniem i owadów lub mniejszych gadów. Z pomiędzy jednak płodów przepysznej tamecznej flory i fauny, szczególną uwagę Warszewicza zwracały na siebie storczyki (orchideae), owe tak dziwne kształtów rośliny, których najznakomitszą ilość, a po największej części zupełnie botanikom nieznaną, zebrał w okolicach wulkanu Chiriqui, w rzeeczypospolitej Costarica. I w tém to właśnie leży największa zasługa Warszewicza, że znając prawie wszystkie storczyki hodowane po najbogatszych cieplarniach europejskich, zbierał tylko takie, których jeszcze nie widziano żywych w starym świecie, albo też zupełnie nowe, nieznanne gatunki.

Podróż ta połączoną była z niezmiernymi trudnościami; naszemu rodakowi wypadło nieraz przebywać całe miesiące w okolicach, gdzie istoty ludzkie nie napotkał, gdzie najmniejszy ślad ścieżki nie wskazywał kierunku drogi, i gdzie dopiero z wielką pracą, wśród odwiecznych borów, zarosłych nieprzebyte mi krzewami, spletanemi mnóstwem wijących się roślin, torował sobie przejście, które może w kilka dni bujna roślinność na nowo najskrzętniej zatarała. Tam to wystawiony naprzemian na 40 stopniowe upały nizin i dokuczliwe zimna wyniosłych wyżyn kordylierskich, nie mając innego schronienia od upału jak cień gałęzistych drzew, a od zimna szczeliny skał, posilając się kawałkiem zeschniętego chleba z kassawy, owocem leśnym, lub twardem wędzonem mięsem, z młodzieńczym zapałem wyszukiwał nieznanne rośliny i zbiorzył swe pomazała.

Ciągła podróż, brak wszelkich wygod i odmienny klimat, nie mogły wyrzucić przyjaznego wpływu na

zdrowie wędrownika; uczył też potrzebę wypoczęcia, odetchnienia europejskim powietrzem. Dotknięty nadto uporeczywą zwykłą febrą, wsiadłszy na statek w porcie Chagré, odpłynął w początkach sierpnia 1850 roku do Anglii.

Pod jesień tegoż roku ogłosił Warszewicz drukiem w Berlinie spis nasion przez siebie zebranych, zawierający mnóstwo gatunków nowych lub rzadkich.

W tym także roku senat akademicki uniwersytetu jagiellońskiego, za pośrednictwem prof. Czerwiakowskiego, któremu Warszewicz jeszcze od r. 1838 był znany, ofiarował mu posadę inspektora ogrodu botanicznego w Krakowie. Ale Warszewicz nie mógł jej przyjąć, bo w czasie pobytu jego w Anglii, Towarzystwo badaczy ogrodników angielskich skłoniło go do przedsięwzięcia jeszcze jednej trzyletniej podróży po Ameryce południowej.

Pokrzepiony na zdrowiu, z portu Southampton po drugi raz udał się na zwidzenie nowego świata i wylądował w końcu listopada 1850 r. w Kartagenie, Podróż ta powtórna więcej jeszcze niż pierwsza przysporzyła nauce korzyści. Warszewicz zwiędził kolejno Nową Grenadę, Venezuelę i Gujanę angielską; następnie wszedłszy w granice cesarstwa brazylijskiego, przebył Rio-negro i Maragnon, przebiegł wszcz pólnocne prowincje tego ogromnego państwa i dosięgnął łańcucha Kordylierów, wdarł się na górę Chimborasso aż do wysokości 18000 stóp, a dążąc za biegiem gór, zwiędził Peru i Boliwii. W pierwszym z tych państw usiłował wejść na najwyższe góry Ameryki: Nevado di Sorata i Illemani, a ztąd po raz drugi idąc za biegiem odnog Kordylierów brazylijskich, przekroczył granicę cesarstwa. Nakoniec, chcąc uzupełnić swą podróż zebraniem roślin szyszkowych (coniferae) amerykańskich, udał się wzduż Chili do pólnocnej Patagonii.

Tak więc w ciągu dziewięciu lat, po największej części pieszo lub na mulach, zwiędził nasz podróżnik całą południową i środkową Amerykę w różnych kierunkach, wdzierał się kolejno na przepaściste urwiska Kordylierów i w gluche puszcze dziewicze pólnocnej Brazylii, przerywane secinami rzek ogromnych i szerokich, albo zapędzał się w stepy południowej Boliwii (Pampas), nie mając innych przewodników, jak ufność w Opatrzność Boską w duszy, bussole w ręku, a zapał poszukiwania w sercu.

Zwazywszy że w tych obszarach, stopą Europejczyka może nigdy nietkniętych, tysiączne groziły Warszewiczowi niebezpieczeństwa, dziwnym się, iż wyszedł bez szwanku. Brak jakiegokolwiek drogi, a często i pewnych przewodników, ogromne rzeki, zdradliwie śliczną murawą pokryte bagniska, co krok tamowały mu drogę. Wreszcie jadowite gady, dzikie zwierzęta i dzikie jeszcze pokolenia krainy te zamieszkujące, co chwila mogły przerwać tę podróż niebezpieczną i zniszczyć owoce mozolnych kilkoletnich trudów i poszukiwań. Ale ręka Opatrzności widocznie kierowała krokami niezmiernego podróżnika: umiał unikać groźnych niebezpieczeństw, a napotkawszy Indian wśród puszczy, zjednywał ich sobie bądź podarkiem, bądź ujmującem obejściem się, rozpraszał ich nieufność i umiał otrzymać z ich rąk żywność albo wskazanie źródła, w którymby mógł, wraz z swemi towarzyszami murzyna, wyschle podniebienie orzeźwić. Częstokroć twarze czerwone służyły za przewodników błędnej twarzy, a mając rodaka naszego za jakiegoś czarnoksiężnika, tajemne potęgi ziół znającego, z skwapliwością spełniali jego wolę, i ta to może okoliczność napędziła serca dzikich poszanowaniem dla Warszewicza i ocaliła mu życie.

Jakie fizyczne przeszkody napotykał niekiedy w podróży, dość powiedzieć, że w okolicy Quesaltenango w Guatemala, w ciągu 8 dni przebył 20 rzek i bystrych potoków górskich, niekiedy wpływ, czasem na mulach, a czasami znów na kilku kłodach palmowych, łykiem drzew powiązanych.

Spełniwszy swe zobowiązanie, Warszewicz postanowił powrócić do Europy i zakończyć swoje wycieczki. Płynąc stakiem parowym na rzece Magdalenie, doznał przypadku, przez który lubo życia nie utracił, jednakże postradał część swoich zbiorów. Parowiec rozpadziony trafił na ukryty pień pod zwierciadłem wody, który zgruchotał dno statku i w nurtach rzeki go pogrążył. Warszewicz sam, cudem prawie ocalony, nie zdołał uratować trzech pak, zawierających część zielnika, zbiór muszli peruańskich, oraz kilka okazów małp z najrzadszych gatunków.

W jesieni 1853 roku powrócił Warszewicz do Europy, a na ponowne zaproszenie przybył w grudniu do Krakowa, i zaraz objął posadę inspektora ogrodu botanicznego, gdzie do tej chwili pozostaje. Instytucja ta zyskała bardzo na przejściu w ręce Warszewicza. Dziś ubiega się o pierwszeństwo z najlepszymi tego rodzaju zakładami. Nadto Warszewicz, zostając

ze wszystkimi znaczniejszymi zagranicznymi ogrodami w związkach bezpośrednich, zaopatrzył ogród krakowski w piękne i ważne kolekcje roślin, co wszystko, przy prawdziwej młodości do tej instytucji jej dyrektora Czerwiakowskiego, niemało również przyczynia się do jej stanu kwitnącego.

Warszewicz nie jest uczonym naturalistą, nie pisał wykształcenia swego w wykładach uniwersyteckich, nie nie pisał i nie wydał żadnego dzieła, pożył wszelako znakomite zasługi w dziedzinie przyrodniczych, a głównie botaniki. Snać Bóg, odmienny mu zdolności literackich, udzielił za to szczerą odwagę i zmysł postzegawczy.

W pożyciu dosyć szorstki, lecz szczerzy i uprzejmy, zamilowany do namietności w swoim zawodzie, po granicami jego nic go pociągnąć nie zdoła. O swych podróżach niechętnie rozpowiada, a przeczucją z jednego przedmiotu na drugi, utrudnia złożenie rzadnego ich ciągu.

Ciekawy byłby opis jego wycieczek botanicznych w krajach tych nieznaną nam prawie, dokładniejszy od wszelkich innych, bo dziewięć lat zwiędził Warszewicz znaczną część nowego świata; ale kiedy nastąpićby mogło, nie wiemy; dziś pożył tyle, ileśmy z kilku lat zażyłości z Warszewiczem wiedzieć się mogli.

Wiele bardzo rodzajów, a więcej jeszcze gatunków roślin odkrytych przez Warszewicza, szczególnie z rodziny storczyków, przesyłane do Europy bądź żywe bądź też tylko zasuszone, opisywane były przez Lindley'a i Skinner'a w Londynie, Klotsch'a w Berlinie, Reichenbach'a syna w Lipsku i Regel'a w Zurychu (obecnie w Petersburgu). Ważniejsze, lub też przeważne na jego pamiętkę, są dwa rodzaje: jeden z rodziny marzannowatych (rubiceae), plemienia chinowych (Cinchoneae) Warszewiczia, a drugi z storczyków—Warszewiczella. Gatunków zaś z różnych rodzin, przewzanych jego imieniem, jest przeszło trzydzieści. Z ważniejszych po naszych cieplarniach, a szczególnie w Krakowie hodowanych, są: Acineta Warszewicziana Klotsch, Alonsoa Warszewiczii Klotsch, Anguria Warszewiczii Ch. et Lem., Bidens Warszewiczii Reichenbach filius, Canna Warszewiczii Otto, Catasetum Warszewiczii Lindley, Cleya Warszewiczii Reichenb. fil., Centropetalum Warszewiczii Reichenb. fil., Cestrum Warszewiczii Reichenb. fil., Cynochos Warszewiczii Reichenb. fil., Epidendrum Warszewiczii Reichenb. fil., Maranta Warszewiczii Mathieu, Warszewiczii Lauer, Odontoglossum Warszewiczii Reichenb. fil., Oncidium Warszewiczianum, Salvia Warszewiczii Regel, Sciadocalyx Warszewiczii Regel, Selaginella Warszewicziana Klotsch, Siphocampylus Warszewiczii Regel, Sobralia Warszewiczii Lindley, Strobilanthus Warszewicziana Klotsch, Streptostigma Warszewiczii Regel, Thybaudia Warszewiczii Klotsch, Tydaea Warszewiczii Regel, Tradescantia Warszewiczii Klotsch, Wreszcie Ixalis Warszewiczii Oscar Schmidt, gad z rzędu żabowatych (Batrachia), oddziału rzekotek (Hylaeformia).

Tak więc, chociaż Warszewicz nie jest człowiekiem pióra, działalność jego należy jednak do ogółu, a dodając tak świetny promyk do chwały naszego narodu i wzbudzając uszanowanie obcych dla nas, zasługuje na prawdziwy szacunek swych ziomek.

Kronika tygodniowa.

Na co się zdadzą nekrologi, które bardzo często krzywdę robią zmarłemu, wynajdując przymioty których nie miał i drobniutkie czyny domowego kółka podnosząc do wysokości cnót bohaterskich, całą ludzką obchodzących? Na co się przyda cały ten pęk wyrazów, który przy każdej śmierci zarządzą trochę osoby uważany jest jako konieczny, dając do czterokonnego karawanu, frenzliwych blachy srebrnej na trumnie przybitej, gdzie błyszczenia jeszcze poza grobem, ka herb rodzinny zmarłego z koroną na wieści, można szlachcica rozoznać od plebejusza, na ostatniem mieszkaniu?

Na co ta cała wystawność, to całe puszenie za grobem? Jak cztery albo sześć koni i najwspanialszy nawet kondukt, odwozący zmarłego na miejsce wiecznego schronienia, nie doda mu zasługi, tak i obdarzy go sławą artykuł opłacony dziesięcioma rublami, bo taka bywa zwykle cena nekrologów, czy więcej czy mniej wzniosłych; dziennikom zaś nie idzie

* Świadectwo to, wydane r. 1844 w języku francuskim czytaliśmy własnoocześnie; żałujemy tylko, żeśmy jego treści całkowicie w pamięci nie zatrzymali.

scena do obrazu, i dziwić się należy że żaden z naszych malarzy nie obrał jej dotąd za przedmiot kompozycji historycznej.

Potem miał przemowę Prażmowski, kanclerz wielki koronny, dziękując hetmanom od króla i rzeczypospolitej; nad wszystkich zaś wynosząc Czarnieckiego, wyraził życzenie, aby mu niebo tyle lat przedłużyło, ile czynami swemi sprawił pomysłowości ojczyźnie. Wniesiono następnie projekt od tronu, ażeby w nagrodę położonych zasług, oddane zostało Czarnieckiemu na własność dziedziczną starostwo tykocińskie z przyległościami. Gdy przeciwko temu zamiarowi powstawały głosy zawistnych, utrzymujących że podobne obracanie dóbr rządowych na prywatne, czyni uszczerbek majątkowi publicznemu, sam król, powstawszy na tronie, w te słowa przemówił do zgromadzonych: „Jeżeli wam siła to zdaje się być, żeby Czarnieckiemu, za jego cnoty i pracę tak wielką i odważne akcje, Tykocin wiecznością dostał się; więc cokolwiek i ja mam w tej ojczyźnie zasług, łączę do zasług Czarnieckiego, a jeśli jeszcze i to mało, więc domu jagiellońskiego wyświadczone rzeczypospolitej dobrodziejstwa przylącam, — a zatem rozumiem że tego już warto.“

Te słowa zamknęły usta sprzeciwiającym się, a Tykocin konstytucją sejmową z dnia 13 czerwca 1661 roku nadany został na wieczne czasy Czarnieckiemu i jego potomkom. Przytaczamy tu w tłumaczeniu wyciąg z przywileju nadawczego, którego słowa wyrzute są na trzech bokach pamnika Stefana Czarnieckiego, dziś jeszcze stojącego na rynku miasta Tykocina. (*)

„Wstydby nam było majestatu naszego, gdybyśmy męztwa i cnoty Stefana Czarnieckiego wojewody ruskiego, sławionych w całej Europie, świadectwem naszym potomności nie przekazali; nie bowiem wielkiego w boju za czasów naszych bez Czarnieckiego nie zdziałano. Któryżby wiek nie podziwiał umysłu tyle zręcznego w trudnych okolicznościach, a w niebezpieczeństwie równie mężnego jak przezornego? Śród ogólnej niedoli, jako jedyne ocalenie dany nam został od Opatrzności Stefan. Złazy się na kraj straszliwe klęski: skalana wiara, wszędzie gwałty, łupieżstwa i spustoszenia. My sami opuszczeni przez poddanych, najlichsza wszędzie obrona, nikogo coby opór chciał stawić, — póki dzielność Czarnieckiego nie zajaśniała niespodziewanie.

Pragnęli wszyscy męża, któryby rzecząpospolitą do dawnego przywrócił stanu, ożywił nadzieję w rozpaczliwych okolicznościach, uporne wojsko do surowej doprowadził karności, upadającą królestwa powagę podtrzymał. Wszystko to Czarniecki z podziwieniem naszym wykonał. Znalazła w nim rzecząpospolita obywatela, który rany ojczyzny goił własnymi ranami. Nie godziłoby się ujmować temu, co wszystkim dał wszystkim: głowie naszej koronę, obywatelom ojczyznę, miastom obywateli, prowincjom miasta, królestwu i wielkiemu księstwu litewskiemu prowincję, a obu narodom sławę, z największą dla siebie chlubą, przywrócił.

„Przenosząc zwycięztwa za granice ojczyste, morza i wyspy wslawił swém imieniem, a szczuplemi hufcy potężne wojsko pogromił albo rozproszył. Niechaj Bóg długo zachowa potomków jego w bujnej wnuków odrosli, i oby z tegoż szczepu szczęśliwego wyrosła wierność dla króla i męztwo przeciw nieprzyjacielowi. Za którego więc sprawą gdy rzecząpospolita, wyparta prawie z ziemi ojczystej, niedawno odzyskała swą własność, nadajemy mu w dziedzictwo Tykocin, jako wieczystą łaskę naszej pamiętkę, za jednomyślném stanowieniem rzecząpospolitej zezwoleniem i na zasadzie uchwały sejmowej.“ Jan Kazimierz król.

SIERPNIOWYM WIECZOREM.

Sierpniowym wieczorem, przed drzwiami méj chaty,
Zasiadam ja cichy i w myśli bogaty,
I dziwna mi rzewność ku duszy napływa,
A serce w takt światu i Bogu w takt śpiewa.

Sierpniowym wieczorem, na zachodzie właśnie,
Ostatnim promieniem oko słońca gaśnie,
I jeszcze się świecą w krwawej aureoli
Krzyż mego kościółka i szczyty topoli.

I jeszcze w wieśniaczej sadyby podwórzu
Dziecięta igrają przy zwiezioném zbożu,
I jeszcze ostatnia fornalka spóźniona
Z cierniska do dworu powraca spieniona.

(*) Rysunek tego pomnika w późniejszym czasie czytelnikom naszym przedstawimy.

Sierpniowym wieczorem, na wschodzie, w ciemności
Zanurzony las czarny się spuszcza ku włości,
I rąbkiem drzew starych na niebie się kręśli,
A ciemny, a smutny, znać duma i myśli.

Aż drzew mu wierzchołki zabłysną jak w zorzy,
Aż głębia się jego rozświeci, roztworzy,
I jasność mu dziwna zatleje u czoła,
Jak gdyby z tej ciemni wleciał duch anioła.

To księżyc. O! w jakiej powstaje on ciszy,
Zda się po niebie chód się jego słyszy,
Zda się szmer liści słychać z sosen szczytu,
Co go witają w przestrzeniach błękitu.

To księżyc. Zjaśniały domku mego ściany,
I bocian się ze snu obudził świetlany,
I pies mój u stóp ozwał się uspiiony,
A nową piosenkę gra stróż oddalony.

To księżyc. O ścianę oparłem się głową,
I czoło podałem w światłość księżycową,
I oczy zamknąłem — lecz w blasku księżycyca
Pośepna méj duszy stanęła świetlica.

I zdała się niby jak cmentarz daleki,
Gdzie uczuć i marzeń pokładły się wieki,
Gdzie lube postacie, gdzie zmarłe świętości
Pod skrzydłem usnęły anioła miłości.

A duch mój ścieżkami księżycyca złotemi
Przechodził i pieścił się grobami swemi,
I złote napisy i znaki tłumaczył,
Które krwią serca, łzami duszy znaczył.

Troskliwie, ojcowsko nad groby się chylił,
Czy trawy wiatr nie zgiał, kurz płyty nie spylił,
Czy anioł miłości skrzydły osłoniony,
Pod wichrem na ziemię nie upadł strwożony.

A potem nad każdym grobowcem przygięty,
Pamięci hymn nuć, pamięci hymn święty,
Aż pękną kamienie i dusza uspiiona
Powstanie, księżycyca promieniem ośniona.

Aż w piersi się ludno od umarłych stanie,
Aż błada śmierć srogie utraci władanie,
I postać każda pochłonią w czasie,
W swéj nieśmiertelnej zmartwychwstanie krasie.

I co mi świat zabił morderczym oddechem,
To wraca w ramiona z anielskim uśmiechem,
I szatą bieluchną powiewa koło mnie,
I woła: wierz we mnie! i woła: pójdź do mnie!

I co mi piękności spróchniało przez życie,
To wraca w wspanialszym, wieczystym rozkwicie,
I ramię bieluchne podnosi miłośnie,
I woła: ku wiosnie léć luby, ku wiosnie!

I co mi świat ziemski wyszydził małeńki,
To spływa jak gwiazda widomie do ręki,
I tęczą ku ziemi, pod stopy mi złata,
I woła: chodź ku mnie, do innego świata!

I silnym ja wtenczas. Gdy oczy otworzę,
To księżyc pocziwiec mi wiarę tę zmoże,
I długim zawodzim z sobą rozhowerem...
Tak, bywa, ja marzę sierpniowym wieczorem.

J. Szujski

KOŚCIÓŁ KATOLICKI W IRKUCKU (*).

He może dokonać w człowieku prawdziwa miłość Boża, święta gorliwość, dobra wola i szczerze poświęcenie się, przekonywa kościół w Irkucku, przed kilką laty małemi bardzo funduszami z ruin odbudowany i przyprawiony do takiego stanu, że dziś policzyć go należy do rzędu pierwszych przybytków Pańskich w archidiecezyi mohilewskiej. Nie blyszczy on wprawdzie bogactwem i przepychem; ale i w skromnej budowie jego, jak ją przedstawia załączony drzeworyt (wykonany podług zdjętej na miejscu fotografii), przebijają ślady dobrego smaku i niezwykłej staranności.

Wnętrze kościoła, składające się tylko z jednej nawy, powiększono o jedną trzecią; cztery kolumny podtrzymują miejsce gdzie znajdują organy; gzymsy, pilastry, fronton i inne ozdoby wyrobiono z ala-

(*) Wzmiankę o tym kościele wyjmujemy w skróceniu z Pamietnika religijno-moralnego, tom 32.

bastru; oprócz tego na frontonie umieszczono nową rzeźbę wyłaczaną, przedstawiającą Oko Opatrzności, a pod nią podpis: „Bóg naszą ucieczką i mocą.“ Kościół wewnątrz może być ogrzany; wielki ołtarz, rzeźbiarskiej roboty, bogato został wyzłocony, podłogę zaś w całej świątyni wysłano zielonem, a w presbiterium czerwonym sukmem.

Wszystkie te roboty wykonane zostały pod kierunkiem oddzielnego komitetu, staraniem ks. Krzysztofa Szwerwickiego, maryanina z Polski. Oto słowa które wyrzekł czcigodny ten kapłan po ukończeniu swego dzieła: „Dusza i serce moje raduje się, że mnie niegodnego i grzesznego zakonnika, obrał Bóg za narzędzie, dla upiększenia Jego świętego domu. Patrząc tedy na takie powodzenie, czyli właściwiej mówiąc, na wyraźną pomoc Bożą, w pokorze i uniżeniu ducha mego zanoszę gorące modły do tronu tego łaskawego Ojca, aby raczył powiększyć pomysłność i świetność Swojego domu. Oby chwala i cześć była Mu oddawaną w tém miejscu bez przestanku, w duchu i prawdzie; oby wierne dusze zawsze w tej świątyni znajdowały spokój i siłę do znoszenia przeciwności.“

Poświęcenie odnowionego kościoła w Irkucku odbyło się dnia 25 listopada 1856 r., z całą okazałością właściwą obrędom naszej świętej wiary. Według twierdzenia mieszkańców miejscowych, nigdy nie widziano tak świetnego nabożeństwa w tutejszym kościele.

POMNIK POD HODOWEM.

Niedarmo zwano Polskę puklerzem Europy: pięć wieków pełniła swoje posłannictwo, pięć wieków strzegła chrześcijaństwa od ostatecznej zagłady.

Gdyby na polach Lignicy Henryk Pobożny nie powstrzymał wylewu Mogolów i gdyby Jan III pod Wiedniem nie zdeptał w proch chorągwi proroka, cóżby się stało z ową szeroko głoszoną cywilizacją naszych sąsiadów z nad Sprei i Innu, gdzieby szczepili jęć błogie owoce?

Chłód i niechęć, a potem czarna niewdzięczność, zapłaciły Janowi III za jego i rycerstwa poświęcenie; ale też bohater-mściciel nie spodziewał się wdzięczności, bo wiedział komu niósł ratunek. Nie wglądając kto błaga pomocy, widział tylko krzyż zachwiany, słyszał jęki chrześcian, poszedł, ujrzał i zwyciężył.

Rdza pokryła błyszczący puklerz Europy, wiatr rozwiał zgłiszcząca popalonych włości Podola i rozniósł po świecie prochy obrońców krzyża, grzyby porosły trawą, wszystko znikło... pozostały tylko wspomnienia.

A wspomnienia te, to chaos bezładny: raz nasuwa się oczom obraz spustoszeń, tłumy brańców pędzonych, płacz niewiast, to znowu widno jak przed garścią rycerzy uchodzą nieprzeliczone tłumy pohańców, a hufce skrzydlate wojowników Polski, jakby zastęp aniołów, odganiają duchy ciemności.

Uczucia zwątpienia i rozpacz, radości i chwały naprzemian napelniają pierś. Cecora i Warna, Chocim i Wiedeń, oto karty wielkiej księgi pamiętek.

Gdy polskie pachole pierwszy raz czyta dzieje starożytnej Grecyi, gdy serce silniej mu uderzy na wspomnienie Maratonu i Termopyłów, gdy ze czcią wymawia imiona Milcyada, Leonidasa, Arystyda, nie wie częstokroć, że i jego ziemia wydawała olbrzymów.

Ucz się młodzianie, odrywaj pleśń odwieczną, bierz za wzór bohaterów Grecyi, lecz pamiętaj że Grecya póty była sławną i straszną, póki Ateńczyk był obywatelom, a Spartanin przenosił czarną polewkę nad uczyty Babilonu.

Pięciowiekowe zapasy Polski z półksiężycem, mnóstwo zawierają cudnych, a mało jednak znanych ustępów: jednym z takich jest obrona Hodowa.

Siedmdziesiąt tysięcy ordy napadło na Ruś Czerwoną, paliło włości, wycinało w pień męzów, zabierało w jassyr niewiasty i dziatwę.

Opodal miasteczka Pomorzan, w pobliżu Złoczowa, leży wieś Hodów, w dzikiej, górzystej okolicy, mnogimi poprzerynana parowami. Tam z 600 towarzystwa zamknął się dziedzic tej wsi, Jakub Zahorowski, a nieco sąsiedniej szlachty z Torchowa; Rozhadowa i kilkuset włościan pomnożyło szczupły zastęp rycerzy.

Na wieść że garstka Polaków ośmiela się stawić czoło zagonom ordy, zapłonął srogi han gniewem i i zaprzysięgając im śmierć, ruszył całym taborem przeciw Polakom.

A w Hodowie kopano rowy, przecinano drogi, bito ostrokoły; rycerstwo rzucało broń, a ujawszy motykę, podzielało pracę włościan. Bliskość niebezpieczeństwa i pragnienie zemsty za klęskę ukochanej ojczyzny, dawała sił pracującym.

Jeszcze nie dokończono okopów, kiedy ciemne tumany kurzu zakryły słońce i gęste tłumy Tatarów oblały dokola hodowskie wzgórze, na którym krzyż sterczał wysoko z wyciągniętymi ramionami, błogosławiąc gotującym się na śmierć męczennikom.

Wściekły był napad rozjuszonej dzicy, od ich okrzyków wstrząsła się ziemia, ale nie zdrząły serca obrońców Hodowa. Wały najezdźców rozbiły się o niezłomne męstwo garstki chrześcijańskich rycerzy. Huk strzelb polskich głuszył wrzaski Tatarów, zarumieniła się ziemia od ich krwi, a liczne trupy wrogów usypały nowy wał dokola Hodowa i utrudniły jego zdobycie.

Tak niespodziany opór zadziwił hana: uprowadził z pod ognia swe hordy i wysłał murzę z wezwaniem do poddania się, obiecując w takim razie swą łaskę; w przeciwnym, śmierć wszystkim.

„Łaskę przyjmujemy tylko od Boga i od króla. Kto nam śmierć obiecuje, niech wprzód swojego karku nadstawi.“ Taka była odpowiedź Zahorowskiego.

Jeszcze gwałtowniejszym napadem odpowiedział han na te słowa; lecz znów mnóstwo trupa zasłało pola i Tatarzy powtórnie ustąpić musieli.

Trzy dni trwała walka nierówna, trzy dni ponawiały się wściekle szturm Tatarów, lecz zawsze bezskutecznie. Nakoniec czwartego dnia han, po stracie przeszło czterech tysięcy najwaleczniejszych z ordy, odstąpił od Hodowa, unosząc srom porażki w mury Bakczyseraju. W ostatnim starciu poległ sam dzielny Jakub Zahorowski, ugodzony strzałą tatarską.

Dzisiaj jeszcze widać liczne mogiły najezdźczych hord. Niewielki wzgórek, kryjący ciała walecznych obrońców w Hodowa, znajduje się w ogrodzie miejscowego włóścianina, a na nim stoi pomnik kamienny, z napisem łacińskim w tych słowach:

„Bogu Najwyższemu na chwałę, potomności na pamiątkę, bohaterom polskim na przykład, wrogom ojczyzny na hanbę, wznosił mię Jan III Sobieski na tym miejscu, na którym Polacy, pod wodzem Zahorowskim, obokoczeni w płotach, odparli 70,000 Tatarów z wielką ich klęską, a swoją zadną, dnia 5 czerwca 1694 r. Ranny od Tatarów w tej bitwie Zahorowski, uległszy śmierci, pochowany jest na cmentarzu pomorzańskim

u św. Trójcy, a na pamiątkę jego tak świetnych czynów, wznosił najjaśniejszy król Jan Sobieski ten pomnik, za staraniem i kosztem stroskanej matki, dziewcziczki podówczas pomorzańskiej.“

sca, zaczęli księża paulini wznosić mury w około kościoła i klasztoru.

Sławny na późne wieki kaznodzieja, Piotr Skarga, gorące tu nieraz składał modły. Kiedy w ostatniej chorobie złożył przed cudownym obrazem ubogą zakonną ofiarę, zrobioną własnymi rękoma gromnicę, przysłał na Jasną-Górę, prosząc ażeby na jego intencję w pewnych godzinach zapalano ją na ołtarzu. Nadszedł dzień 27 października 1602 roku, w którym właśnie miesiąc upływał od przysłania tego daru: zapalono gromnicę, ale ta, z początku jasnym paląc się płomieniem, nagle i bez powodu zgasła. Właśnie w tejże samej chwili w ubogiej celi w Krakowie zgasło świętobliwe życie zasłużonego Skargi.

Kiedy Władysław IV wstąpił na tron, jakby przecuciem wiedziony, podług nakreślonego planu, hojnym wsparciem dopomógł do wzniesienia warownych murów i postawienia klasztoru nie tylko w stanie odpornym przed chwilowym napadem, ale zdolnym do wytrzymania długiego nawet oblężenia. Odwizdał po kilkakroć to miejsce święte i bogate wota w niem zostawił.

Przypieszał król wzniesienie warowni, które wkrótce po zgonie jego, miały się stać zaporą niezdobytą dla najezdźczych szwedzkich zastępów, to rozwijając po całym obszarze Rzeczypospolitej zwyciężką chorągiew, tu ją zwinęli, doznawszy ohydnej klęski. Ze wstydem z pod murów Jasnój-Góry uchodzić musieli, a Polska w tych smutnych czasach ujrzała tu nad szczytami wież kościelnych wschodzącą jutrzenkę swobody. Z poniżającego upokorzenia powstała do razu, silna poświęceniem i zapalem: szlachta i lud, w jednej bratniej myśli, rzucili się na wroga, który przewodząc w stolicy Rzeczypospolitej i dawnym grodzie Krakusa, wkrótce rozbity, pędzony postrachem, uciekał z polskiej ziemi ku Bałtyku wybrzeżom, szukając schronienia na swych okrętach. (Ob. Dod.)



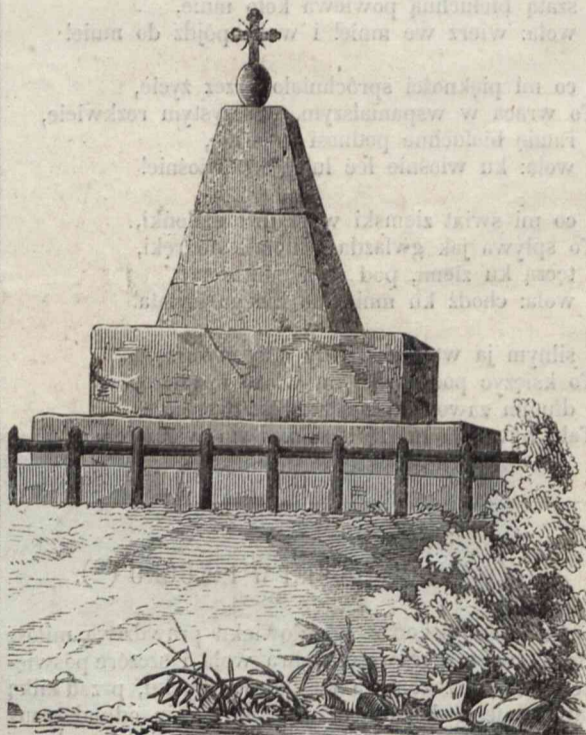
KOŚCIÓŁ KATOLICKI W IRKUCKU. (Rys. Polkowski, podług fotografii zdjętej na miejscu.)

CZĘSTOCHOWA.

KLASZTOR I KOŚCIÓŁ NA JASNEJ-GÓRZE.

(Dalszy ciąg.)

Kapłani jasnogórscy w następnym roku przybyli do króla Jagielly, ze skargą bolesną na rozbój świętokradzki i ukazali połamany cudowny obraz. Król rozkazał najprzód pochwycić zbrodniarzy i ukarać, a zarazem zwołać malarzy najprzedniejszych z Krakowa, aby obraz spoił i naprawił. Spełnili życzenie,



POMNIK POD HODOWEM W GALICYI.

ale kręsy od szabli zbójcekiej zamalować nie zdołali. Zostało się to znamię wieczyste na obliczu Bogardzicy, jakby dla świadectwa złości ludzkiej.

W następnych czasach pierwsi dygnitarze kościoła polskiego przykładali się do wzrostu tego kościoła, jak i panujący królowie z rodu Jagiellonów, oraz późniejsi elekcijni. Zygmunta I nietylko miasto nowym przywilejem obdarzył, ale do kościoła jasnogórskiego ofiarował własnej roboty srebrny wielki relikwiarz, w kształcie krucyfiksu, z częstką drzewa krzyża świętego i monstrancją.

Za Zygmunta III, dla zabezpieczenia świętego miej-

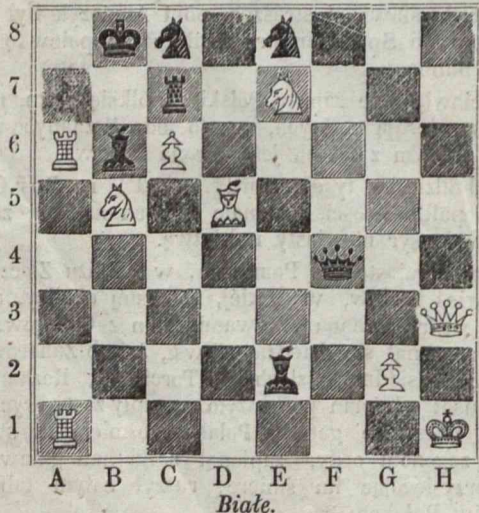
SZACHY.

ZADANIE LXVII.

(Z. Ro. z Suwałk.)

Białe zaczynają i dają matę za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

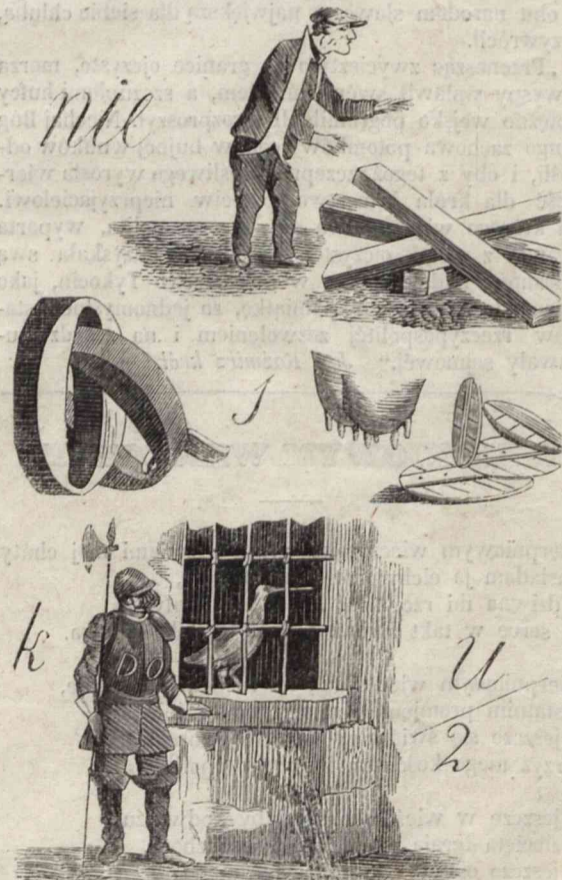
Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 66.

Białe.

Czarne.

- 1) E 4 — A 8 biorą ♠ . 1) B 8 — A 8 biorą
- 2) D 8 — C 8 2) Jakkolwiek .
- 3) D 3 — E 4 ♠ i mat.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 88.

Gospodarz przed domem, to nie ma gości w domu.

(Dodatk.)